Gymkhana



Anna Habryn

Gymkhana w Payne’s Find przyciągała w każdą Wielkanoc tłumy

ludzi. Zawody i pokazy konne były największym wydarzeniem roku.

Oprócz pokazów i wyścigów codziennie smażono setki steków na olbrzymich *barbecues*, a piwo lało się strumieniami. Przez cały weekend maleńki pub pękał w szwach, do baru trudno się było docisnąć, a szczęśliwcy, którzy zajęli barowe stołki opuszczali je tylko po to, żeby na chwilę wyskoczyć w wiadomej sprawie. Toalety były oblężone, ale krzaków dookoła zatłoczonego pola kempingowego nie brakowało. Busz zaczynał się za ostatnimi przyczepami, w których mieszkali przez dwie lub trzy noce farmerzy z całej okolicy.

Oczywiście, wszelkie możliwe organizacje korzystały z wielkiego zjazdu właścicieli i pracowników okolicznych *stations*, żeby organizować kiermasze i stoiska, w ktorych sprzedawano domowego wyrobu arcydzieła tworzone w kuchniach i przydomowych warsztatach na cele dobroczynne.

Margaret była działaczką jednej z takich organizacji, toteż na *Gymkhana* bywała co roku obowiązkowo. W tym roku umówiliśmy się tam w drugi dzień świąt.

Od kilku tygodni krążyliśmy z Margaret po przecinających się orbitach i przyciąganie czuliśmy coraz mocniej, ale o spotkaniu na uboczu mogliśmy tylko marzyć. Mnie pilnowała wcale nie

dyskretnie matka moich dzieci, jej pilnowała dorastająca córka, istotka sprytna i wszędobylska. Spotkanie w Payne's Find

podczas wielkanocnej imprezy było pomysłem – jak nam się zdawało – doskonałym. W tłumie można zniknąć z oczu rodzinie, co nie było w żaden sposób możliwe w malutkiej mieścinie, takiej jak Cue.

W świąteczny poniedziałek rano obaj z moim dobrym kumplem Rodem wybraliśmy się na imprezę. Trochę popatrzyliśmy sobie na *barrel racing*, czyli na panie wywijające na koniach esy floresy między trzema beczkami, a potem Roda pociągnęło w stronę pubu. Umówiłem się z nim na powrót do domu wieczorem – i powędrowałem szukać mojej przygody. Margaret znalazłem z pewnym trudem, bo stoisk sprzedających hot-dogi z cebulą i keczupem było kilka. Stanąłem w kolejce, kupiłem szaszłyk i dałem jej znak, że czekam. Pięć minut później znalazła mnie w tłumie i ostrożnie, bez ostentacji, powędrowaliśmy w busz.

Dzień był słoneczny i słońce prażyło. Margaret miała sukienkę w kwiaty i duży kapelusz. Wyglądała pięknie. Kiedy ten kapelusz zdjęła i zaczęła mnie całować, ziemia zakołysała mi się pod nogami. Rozejrzałem się, a że byliśmy sami, podniosłem moją kobietę i ułożyłem na rozgrzanym czerwonym piasku. Śmiała się gardłowym, lekko ochrypłym śmiechem. Czułem jej ręce na moim karku, na moich plecach i pośladkach. Jej białe ciało

pachniało tak, że oszalałem zupełnie. Zamknąłem oczy i przez jakiś czas zanurzałem się w tym zapachu, czując, jak pragnienie wzbiera i pęcznieje.

– Mamo!

– To było jak uderzenie bata po plecach. – Shit! – pomyślałem i zastygłem w bezruchu.

– Przestań! – To było do mnie. – Ja mam przestać? – Margaret gwałtownie wywinęła się spode mnie i usiadła. – Shit, shit, shit. Cholerna córka. Znalazła nas, i to właśnie teraz. Niech to diabli.

Ale Margaret już stała na nogach i otrzepywała się z piasku. Potem bez słowa pociągnęła córkę za rękę i prawie biegiem ruszyła z powrotem w stronę ludzi. Pod krzakiem zostały majtki. Pewnie dla mnie na pamiątkę. Shit.

Doprowadziłem się do porządku i ruszyłem w stronę ludzi. Czułem się tak podle, że musiałem się napić.

Przed pubem cały placyk zastawiony był motocyklami. Demony, klub, a właściwie gang znany w okolicy. Czarne motocykle, czarne skóry, biżuteria z białego metalu wszędzie, gdzie się ją da umieścić. Ich dziewczyny miały twarze malowane na biało. a włosy na czerwono. Widocznie dopiero co przyjechali, bo

zdejmowali kaski, ocierali pot i kurz z twarzy. Zaraz zajmą wszystkie stołki w barze, musiałem się śpieszyć.

W środku maleńkiego pomieszczenia były zaledwie trzy stoliki, zajęte, ale przy barze siedział mój kumpel Rod. Przecisnąłem się do niego i jakoś właśnie w tej chwili facet obok wstał i chwiejnie ruszył do wyjścia. Wskoczyłem na jego miejsce i poczułem się lepiej.

– Bitter – zażądałem i patrzyłem, jak bursztynowy napój pieni się w mokrej szklance. a piana spływa barmanowi po palcach.

– Cholerni *bikies* – powiedziałem do Roda. Byłem wściekły, ale nie mogłem Rodowi powiedzieć o swojej porażce w krzakach więc zacząłem się wyżywać na facetach w czarnych skórach na motorach, co robią burdy. Łobuzy, zdemolowali niejeden roadhouse, jak mówią ludzie.

– „Maleńki” – powiedział Rod.

– No właśnie – przytaknąłem. – O nich mówię. „Maleńki” to było przezwisko przywódcy gangu. Chłop był podobno olbrzymi.

– Zamknij się – powiedział Rod.

– Boisz się ich? – zapytałem ze złością. Rod przez zaciśnięte zęby

mruknął – za tobą.

Okręciłem się na stołku o sto osiemdziesiąt stopni – i nosem prawie otarłem się o wielką metalową klamrę z jakimiś dziwnymi ornamentami. Wyżej była skórzana kamizelka, niżej, no cóż, mogłem go pocałować w pępek. Facet był rzeczywiście dwumetrowy. W ułamku sekundy przemknęło mi przez myśl, że nie mam szans. Ale dzielnie spojrzałem w górę. Ponad siwiejącą brodą widziałem nos i oczy, które wpatrzone były w półki nad barem. Nad moją głową złożył zamówienie i odszedł z trzema piwami w olbrzymich łapach nie zatrzymawszy na mnie wzroku nawet przez sekundę. Jakby mnie w ogóle nie było.

Tego dnia upiłem się do nieprzytomności. Rod zaniósł mnie do samochodu na plecach, ale zanim dojechaliśmy do Cue, obudziłem się. Była noc, kiedy wysiadłem przed swoim domem. W żadnym oknie nie paliło się światło. Nie wszedłem do domu. Poszedłem do szopy, gdzie spokojnie przeżuwał siano mój koń. Miałem Bena. Miałem przyjaciela, który mnie kochał. I ja go kochałem.

Założyłem Benowi uzdę i wyprowadziłem go z szopy na ulicę. Miasteczko spało spokojnie. Klepnąłem konia po szyi. Ja wam pokażę, pomyślałem. Wdrapałem się na grzbiet i na oklep pogalopowałem główną ulicą wrzeszcząc na całe gardło:

– Yahoo! Yahoo! Yahoo!

A potem spadłem gdzieś w krzaki i przespałem do rana. Tak straciłem szansę na płomienny romans i męską walkę ze złem. Cholerna australijska prowincja!

Marian Pankowski (1919-2011)

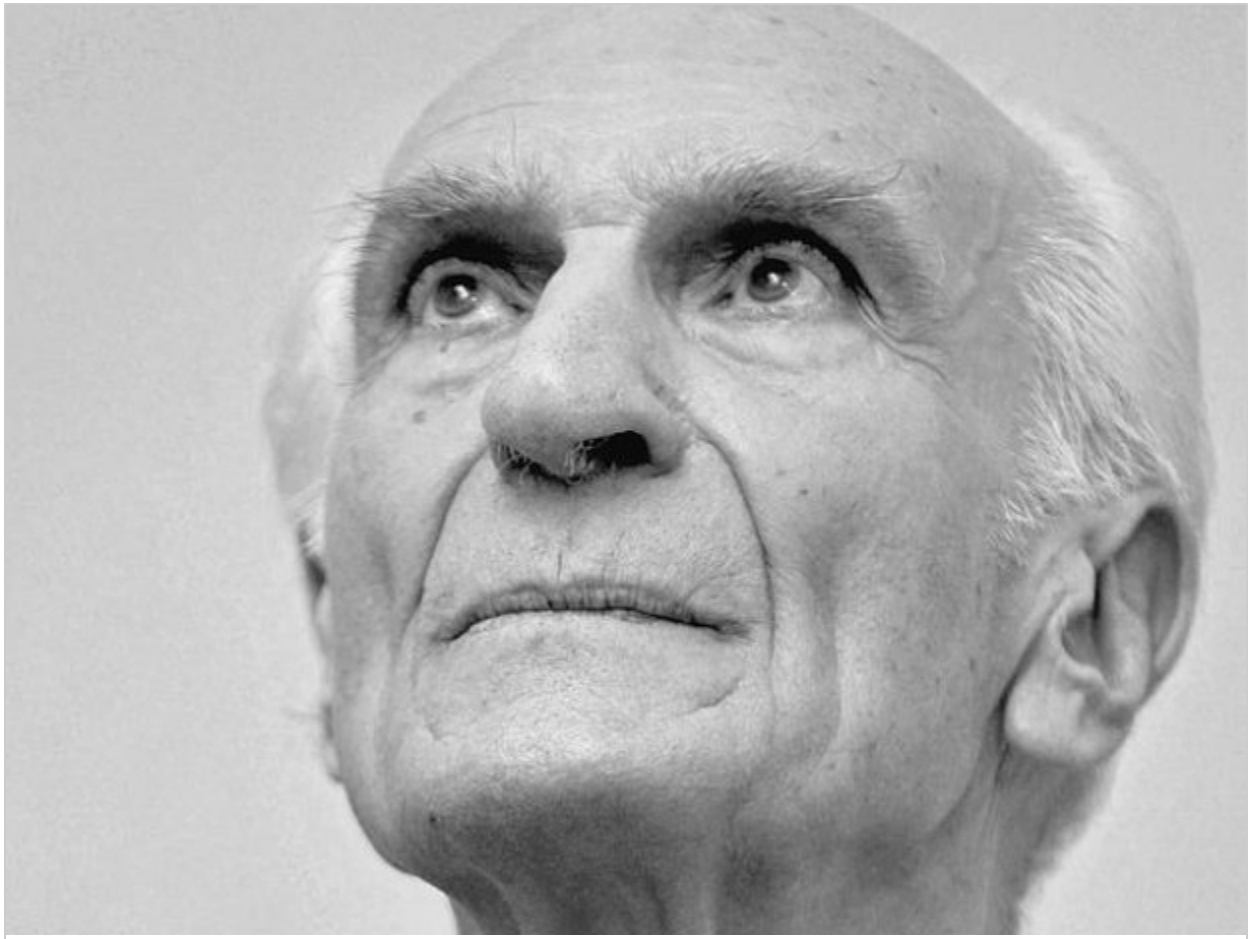

Marian Pankowski, fot. Łukasz Giza , Agencja Gazeta.

Florian Śmieja

3 kwietnia 2011 roku w Brukseli zmarł kontrowersyjny pisarz polski, orędownik daleko posuniętej swobody twórczej. Aczkolwiek debiutował po wojnie jako poeta i krytyk paryskiej „Kultury”, po kilku latach stał się głównie prozaikiem i dramaturgiem. Zamieszkał w Belgii, napisał kilka sztuk po francusku i przygotował antologię poezji polskiej w przekładzie na francuski, przez całe jednak życie posługiwał się z lubością językiem ojczystym, który wydatnie wzbogacił. Stał się jego

mistrzem budując jego krzepę, jędrność i urodę. Z języka wstydliwego i ubożuchnego w terminy tyczące cielesności, zrobił go miejscami drastycznym i skandalizującym.

Pankowski urodził się w Sanoku w 1919 roku, tam uczęszczał do gimnazjum i zdał maturę. Służbę wojskową odbył w Szkole Podchorążych w Jarosławiu. Potem zapisał się na polonistykę na Uniwersytet Jagielloński.

We wrześniu 1939 roku walczył koło Tarnowa, a kiedy dostał się do niewoli niemieckiej, uciekł z niej i wrócił do Sanoka. Tam pracował jako robotnik do 1942 roku, gdy aresztowało go Gestapo za przynależność do Związku Walki Zbrojnej. Z obozu w Auschwitz powędrował do Gross-Rosen, Nordhausen i Bergen-Belsen, gdzie przebywał aż do wyzwolenia przez wojska brytyjskie.

W Belgii podjął przerwane studia i w 1962 roku uzyskał tytuł doktora za rozprawę „Leśmian czyli bunt poety przeciwko granicom". W 1980 roku został profesorem zwyczajnym w Katedrze Literatury i Filologii Polskiej na Uniwersytecie Brukselskim.

Do Polski pojechał w 1958 roku na zjazd byłych uczniów gimnazjum w Sanoku. Potem jeździł już regularnie zerwawszy kontakty z Giedroyciową „Kulturą".

Jest autorem szeregu tomów poezji pisanych po polsku i francusku: „Pieśni pompejańskie”, „Podpłomyki”, „Sto mil przed brzegiem”, „Zielnik złotych śniegów”. Publikacja „Smagłej swobody” zapoczątkowała okres twórczości prozaicznej i dramatu. Po niej wydał prywatnie kontrowersyjną powieść „Matuga idzie”.

Było to przesłanie młodego pisarza, który obwieścił swoje przybycie na scenę. Napisał odważne przesłanie obrazoburcy. Bo Pankowski zerwał z literacką i patriotyczną tradycją i mitami. Zaproponował własną, indywidualną wizję różną od romantycznej, której hołdowały poprzednie stulecia. Sięgnął do przeciwnej zgoła, bo niskiej, plebejskiej kultury, do sowizdrzalskiej przebiegłości, do zuchwałości barokowej groteski. W dramacie będzie mu patronował Michel de Gheldenrode, którego przekładał na polski oraz turpizmy Leśmiana, którego studiował. Jego książkę przeciwstawia się też patriotycznej wizji „Pana Tadeusza”, pisanego przez wielką emigrację dla pociechy przegranych emigrantów.

Pankowski natomiast szydził z najdroższych, najtragiczniejszych momentów historii i kultury polskiej, szargał uświęcone tabu, rozbijał pielęgnowane sceny i pamiętne sytuacje. W tradycyjnej prezentacji polskości niemiłosiernie piętnował stereotypy, odkrywał zakłamanie, odsłonił ciemne karty historyczne. Święta ojczyzna to prostacka „Kartoflania”

oddana niemądrym dewocyjnym pielgrzymkom, pełna pijaków i niedojdów. Smagał bezlitośnie stateczne dramaty polskie sobie współczesne, stawiając w ich miejsce przemądrzałe bufonady, satyrę i urąganie. Nie obronił się przed nim nawet tragizm anihilacji Polski w czasie drugiej wojny, bo towarzyszą u Pankowskiego szokująco obsceniczne sceny orgii seksualnych, w imię prawdy przemożnego pociągu cielesności i ataków na polskie tradycje, utytłane w spelunkach, ohydnych lokalach, miejscach zakazanych.

Ta rozbełtana twórczość nie znalazła powszechnego przyjęcia na emigracji, a w Polsce tylko opornie torowała sobie drogę wśród próbujących podążać za autorem żądnych nowości czytelników. Czy po zaspokojeniu ich ciekawości i zaprezentowaniu dotąd zakazanych scenerii, Pankowski znajdzie zastępy stałych czytelników, czy odejdą oni, a zostaną jedynie wierzący w przedstawiane przez autora pasje? Nie sądzę, by z marginesu propagowanego przez niego powstała cała strona, chyba zainteresowana pozostanie jedynie mniejszość .

Również nie wierzę, by atakowane stereotypy, na które nie proponuje nam zastępczych, lepszych, upadły pod razami szydercy, który potrafi wykpić, ale nie budować.

Najtrwalszym wkładem jest dla mnie język, który wzbogacony zachowa wiele nowych słów i idiomów. A to już jest

spory sukces i naprawdę rewanż emigranta, który na obczyźnie potrafił wzbogacić ojczysty język.

Pisać mi wolno. Spotkanie ze Słonimskim.



Antoni Słonimski, 1972 r. Foto: TVP/PAP- Zygmunt Januszewski

Florian Śmieja

Było czymś oczywistym, że poznawszy w Nowym Jorku Józefa Wittlina, a Kazimierza Wierzyńskiego w Londynie, pragnąłem spotkać ich skamandryckich druhów. W Londynie widywałem często Stanisława Balińskiego, najmłodszego ze świetnej plejady, rzadkiego już wtedy liryka, zerkającego ku teatrowi i mającego święcić triumfy w komedii „Polka z kraju", którą grano nie tylko w Anglii, ale także za Oceanem.

Podczas jednej z wizyt w Polsce poznałem wcale nieoczekiwanie Jarosława Iwaszkiewicza odwiedzając redakcję „Twórczości". Bywałem tam wcześniej, ale tamtym razem przywitawszy się ze Zbigniewem Bieńkowskim usłyszałem tylko jego słowa: „Jest szef" i zanim pojąłem, o co mu chodzi, rozsunął drzwi i wpuścił mnie do pokoju, w którym za biurkiem siedział Jarosław Iwaszkiewicz. Na dźwięk mojego nazwiska wstał i wyciągnąwszy rękę do mnie powiedział: „No, co na to powie emigracja, jak się dowie, że pan był u mnie?" Pewnie jedynie wzruszyłem ramionami, bo cóż by miała powiedzieć? Zresztą, o ile pamiętam, nie wspominałem nigdy o tym wydarzeniu.

Nie pamiętam już, jak to się stało, że zatelefonowałem i

umówiłem się z Antonim Słonimskim. Może zrobiłem to pod urokiem jego tekstu o Jezusie, który na osiołku przyjechał do Warszawy, kapitalnie podanym w Siemionowej Starej Prochowni. Mógł był mi o nim opowiadać ambasador J.K.M. sir George Clutton, mój dawny uczeń, urzędujący przy tej samej ulicy. Chyba że polecił mi go odszukać redaktor „Wiadomości" Mieczysław Grydzewski.

Bo Słonimski był w owym okresie w niełasce. Kiedy nieostrożnie podczas spotkania odezwałem się na ten temat, ubolewając, że mu zabroniono pisać, szybko zaripostował: „Ależ skąd, pisać mi wolno. Nie wolno mnie drukować". W obecności ciętego satyryka i polemisty obowiązywała precyzyjność wypowiedzi…

Spotkaliśmy się w kawiarni bodaj „Stylowej" przy placu Trzech Krzyży. Pan Antoni przyszedł ze swoim ulubionym angielskim parasolem. Usiedliśmy na zewnątrz. Przechodnie kłaniali się panu Antoniemu, co on skomentował słowami: „Widzi pan, ludzie mnie znają i szanują. To tylko ci na górze". Na chwilkę przysiadł się Stanisław Dygat. „I wie pan, czym się teraz oni zajmują?" Oczywiście, że nie wiedziałem. „Pilnie z wszystkich podręczników szkolnych usuwają moje wiersze".

Nie przyznałem się, że we współredagowanym w Londynie miesięczniku wydrukowaliśmy wyraźnie już wtedy przypisywany Słonimskiemu poemat „Sąd nad Don Kichotem", który krążył w

odpisach i którego kopię zdobyłem.

Sądzę, że testament Don Kichota z tego poematu dobrze charakteryzuje Słonimskiego. Przytoczę kilka jego wersów:

Melodia, którą się pamięta,

Piosenka, której refren wraca,

Dowcip szyderczy, żart ulicy,

Rym celny, niespodziana pointa

To moi wierni sojusznicy.

W starej powieści i dramacie

Mój gest i głos mój rozpoznacie.

Poczciwy truizm, banał z nagła

Dreszczem przebiegnie wam po grzbiecie

Lub szlochem skoczy wam do gardła.

Latwo się mnie nie pozbędziecie.

Dziwnym trafem, kiedy tego samego dnia byłem u Julii i Artura Międzyrzeckich na Marszałkowskiej, zjawił się u nich także, dopiero co poznany, Słonimski.

Różnymi meandrami toczyły się jego losy: od redakcji pisma w Londynie po kierowanie tamże instytutem bojkotowanym przez emigrację, po triumfy a potem klęski po powrocie do Polski. Kiedy zginął tragiczną śmiercią, posypały się wspomnienia, artykuły hołdownicze i oporne laurki. Zmarły miałby nie byle jaką satysfakcję oglądać tych różnych ludzi powołujących się nań i biorących go za model postępowania. Słonimski już przedtem pomyślał o swoim epitafium, wymierzył sobie sam sprawiedliwość, miał odwagę wyznać swoje porażki i określić przeznaczenie:

że byłem kiedyś małoduszny,

że kiedyś zbrakło mi odwagi

I że milczałem wbrew sumieniu,

Umierający chcę być nagi.

Chcę zrzucić z piersi ciężar duszny

I raczej spocząć w zapomnieniu,

W przydrożnym prochu i popiele,

Niż na wysokim katafalku

W waszych fałszywych bóstw kościele.



Rękopis Antoniego Słonimskiego ze zbiorów Biblioteki Narodowej

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2003 r.

Norman Boehm – wielki przyjaciel Polski



Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Norman Boehm, Warszawa 2013 r.

Norman Boehm zmarł w Wilmington w stanie Delaware w USA. Był Amerykaninem, nie mówił po polsku, ale był wielkim rzecznikiem spraw Polski w Ameryce. Jego listy w sprawie przyjęcia naszego kraju do NATO są cytowane w książce Jana Nowaka-Jeziorańskiego "Polska droga do NATO".

Norman Boehm urodził się w 1938 roku w Dover w stanie New Jersey. Był inżynierem chemikiem, prawnikiem i specjalistą od wielkich kontraktów. Pracował w firmach związanych z ropą naftową: najdłużej – 16 lat w ARAMCO w Arabii Saudyjskiej, potem w Exxon w Londynie, w Stavanger w Norwegii i w Teksasie. W Londynie przeprowadzał kontrakty w ramach słynnego projektu "North Cormorant" w 1976 roku.

Kontrakt ten, dotyczący szybów wiertniczych na Morzu Północnym, uznano za najcenniejszy w historii firmy Esso i Shell, został skończony przed terminem i zaoszczędzono wiele milionów dolarów. Polska zaproponowała mu także rolę konsultanta, kiedy nasz kraj miał sprowadzać rurociągiem gaz z Norwegii. W 2003 r. Boehm wygłosił na Politechnice Łódzkiej wykład o sposobach sporządzania kontraktów i zasadach etycznego postępowania przy zawieraniu umów przez wielkie firmy.

Norman Boehm był też pianistą; kochał muzykę Chopina,

Czajkowskiego. Lubił jazz, m.in. Cola Portera, a z polskich muzyków Włodzimierza Nahornego. Codziennie grywał na pianinie. Był też pilotem; dwa lata latał jako pilot wojskowy w US NAVY. Licencję pilota miał do końca życia i przez wiele lat latał małym samolotem Aeronca Chief model 1948.

Od 26 lat był mężem Aleksandry Ziółkowskiej, polskiej pisarki, autorki ponad 20 książek opublikowanych w języku polskim i kilku tytułów, które ukazały się po angielsku w Ameryce.

Norman, zapewnia jego żona, stał się niemal polskim patriotą. Zabierał np. głos w sprawie przyjęcia Polski do NATO, o czym pisał Jan Nowak-Jeziorański w książce "Polska droga do NATO". Inicjował wraz żoną masowe wysyłanie listów do kongresmenów; prowadził korespondencję w tej sprawie z senatorem Joe Bidenem i senator Kay Bailey Hutchinson. Jan Nowak-Jeziorański pisał, że gdyby wszystkie 50 stanów Ameryki miały Normana Boehma i Aleksandrę Ziółkowską-Boehm to byłby spokojny o nasze przyjęcie do NATO.

Norman Boehm często interweniował w sprawach Polski i robił to sam, z własnej wrażliwości – zaznacza Ziółkowska-Boehm. Nieraz zwracał się do amerykańskich mediów, zwłaszcza "Time'a" i "New York Timesa" oczekując sprostowania nieprawdziwych, krzywdzących Polskę określeń "polskie obozy pracy", "polskie obozy śmierci".

Po ukazaniu się na amerykańskim rynku kolejnej książki Jana T. Grossa: "Fear: Antisemitism in Poland after Auschwitz" ("Strach. Antysemityzm w Polsce po Auschwitz"), kiedy amerykańskie media masowo publikowały nieprzychylne Polsce recenzje Norman Boehm wystąpił w obronie wizerunku Polski. Kiedy w pełnej emocji, wychwalającej książkę Grossa recenzji Elie Wiesel, laureat pokojowej Nagrody Nobla stwierdzał, że m.in.: "Antysemityzm przetrwał najbardziej w Polsce" Norman Boehm napisał w "The News Journal" (27 lipca 2006 r.), że w Polsce "nie ma więcej antysemityzmu niż gdzie indziej" i przypomniał, że "Polska przyjmowała Żydów wtedy, gdy inne kraje europejskie ich wypędzały".

Mąż pisarki był protestantem-prezbiterianinem, ale chodził z żoną do katolickiego kościoła. Oboje byli zaangażowani m.in. w problematykę amerykańskich Indian, sponsorowali indiańskie szkoły i fundacje. Po wspólnych licznych odwiedzinach rezerwatów i wywiadów z Indianami powstała książka Aleksandry, która w Polsce ukazała się pod tytułem "Otwarta rana Ameryki", w Stanach wydawcę "Open Wounds – A Native American Heritage" pomogli Boehmom znaleźć Apacze.

Norman był szwedzko-niemieckiego pochodzenia. Jego kuzynką była wielka gwiazda filmowa Ingrid Bergman. Książka Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm "Ingrid Bergman prywatnie" ukazała się w wydawnictwie Prószyński i S-ka., a w Stanach

wyszła pt. “Ingird Bergman and her American Relatives”. Opisane w niej zostały m.in. spotkania Normana z kuzynką Ingrid w Paryżu, Deauville, Nowym Jorku, Londynie.

Norman Boehm często odwiedzał wraz z żoną Polskę; chętnie podróżował po naszym kraju. Pokochał Zakopane. Podobał mu się Gdańsk, Nieborów. Najlepiej czuł się jednak w Warszawie. Często uczestniczył w spotkaniach autorskich Aleksandry z polską publicznością. Był przez grono jej czytelników traktowany jak ktoś dobrze znany, serdeczny i bliski.

Oboje z żoną bardzo kochali zwierzęta. Wielokrotnie lecieli samolotem z Ameryki do Polski i z powrotem, z dwoma kotami na kolanach, co naturalnie też zostało opisane w książce “Podróże z moją kotką”.(PAP)

źródło:
http://dziennikzwiazkowy.com/ameryka/zmarl-norman-boehm-wielki-przyjaciel-polski/



Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Norman Boehm na tle rzeźby Crazy Horse, Dakota Południowa 1999 r.



Norman Boehm i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Mount Rushmore, South Dakota, 1995 r.

English version:

https://archiwum2019-en.mon.gov.pl/poland-in-nato/path-to-nato/a-silent-hero-k2010-07-03/

Wiersze z Australii



fot. Anna Fiala (Australia)

Anna Habryn

Wieloryb na brzegu

Przyjaciele zostali z drugiej strony wody

Albo pomarli

Jeszcze nie zapomniałem jak odchodziła ostatnia z dziewczyn

Mam pięćdziesiąt pięć lat

Jeszcze mógłbym coś robić – tam

Kiedyś pracowałem przecież

Jedyna przyjemność jeść

Tyję bo łykam prochy

Depresja

Twarzą w piach

odwracam się od słońca piach jest drobniutki, przylega do skóry wysusza jestem coraz

suchszy w środku na wiór tylko za ciężki żeby się unieść jak kloc przewalam się z

boku na bok w zasięgu wzroku trawa szorstka i piasek dłonie pieszczotliwie ostrożnie

próbują dotknąć, pomóc zachęcić do wysiłku lecz woda już daleko, odpływ zabiera

nadzieję

na ocean, gdzie przestwór wypełniony życiem

drobiny planktonu

kołyszą sie z falą kompletnie szczęśliwe

dają się pochłonąć wypełniając misję

wielcy i mniejsi gonią za jedzeniem

pożeracze i pożerani w zgodzie

z porządkiem świata

Leżę bezsilnie i czuję żal

Tęsknię, śnię morze

Outback

Outback się rodzi z legendy

z zardzewiałego złomu

czerwonej od rudy ziemi

porytej przez ludzką chciwość

Tutejsi ludzie głoszą piękno

zachodów słońca i bezmiaru nieba

istnienia bez reszty świata

przyrody co żyje własnym życiem

i nie poddaje się bez walki.

W buszu zagubione dusze kołują

miedzy pierzastą nadzieją obłoków

a piekielnym żarem kamieni.

Ziemia nie syci ich głodu

nie zaspokaja pragnienia.

Opustoszałe miasteczka

wspomnienia marzeń wycinają z blachy

i ustawiają wzdłuż smutnych ulic

dla przejeżdżających turystów.

Adam Tomaszewski jako poszukiwacz symetrii kultur



Wilek Markiewicz, Toronto, stare miasto.

Ewa Bagłaj

Obraz Kanady w powojennej literaturze polskiej

W *Wiośnie u Wielkich Jezior* Tomaszewski łajał „polonijną wysepkę" w Kanadzie za brak inicjatywy w budowaniu mostów, które pozwoliłyby zbliżyć się naszym rodakom do innych nacji,

kultur i wyznań. W następnej swojej książce o Kraju Klonowego Liścia pokazał, jak można stworzyć taki pomost pomiędzy Kanadą a Wielkopolską poszukując tego, co w nich podobne. Takich wspólnych punktów, jak się okazało, jest zaskakująco wiele. „Poszukiwaczem symetrii, nie kontrapunktu" nazwał twórcę *„Krzyku dzikiej gęsi"* Sergiusz Sterna-Wachowiak, badacz esencji „kanadyjskości" w literaturze i sztuce autora, chyba jedynej tego typu inicjatywy w polskiej krytyce. (Sergiusz Sterna-Wachowiak, *Szukanie Kanady. Esej torontoński* [w:] „Akcent" 2002, nr 3, s.66).

Tomaszewski, potomek wielkopolskich Robinsonów, co to „zagospodarują nawet wyspę bezludną", odnajduje w nowej ojczyźnie znany sobie światopogląd i wynikający z niego typ zachowań.

Skoncentrowanie się na poszukiwaniu podobieństw między pierwszą i drugą ojczyzną jest czymś oryginalnym, mocno wyróżniającym obraz Kanady zawarty w twórczości „torontończyka kościańskiego pochodzenia" na tle wielu innych.

Wielokulturowość jest tu jedną z najlepiej widocznych cech po obu stronach tej osi symetrii. Jest ona najistotniejszą wartością kanadyjskiej społeczności, budzącą wdzięczność i miłość do tolerancyjnego państwa:

„Toronto, Taraunto, Tronto, nawet Trana… słyszy się codziennie. Na ulicy, w tramwaju, w biurze, w sklepie, przy warsztacie pracy. Takie to i miasto. Wymawia się jego nazwę samodzielnie, indywidualnie – każdy inaczej.

Inaczej Brytyjczyk. Inaczej imigrant z kontynentu. Inaczej profesor uniwersytetu. Inaczej kierowca taksówki. Jeszcze inaczej chłopiec na posyłki. Ale wsłuchując się w wymowę nie zawsze kulturalnie brzmiącą, wymowę szarego człowieka torontońskiej ulicy, nietrudno wyczuć podziw, wiarę, szacunek, miłość. Do swego miasta". (Adam Tomaszewski, Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.181).

Autor jest jedną z tych osób. Nic zatem dziwnego, że jego portret Kanady przypomina trochę fotografię ukochanej. W tonie bliskim miłosnemu zwierzeniu utrzymany jest choćby ten na wskroś poetycki opis:

„»O Canada…« (…) jesteś w szumie sosen pochylających się nad wartką Madawaską. Jesteś w postaci starego drwala z Killaloe. W opowieściach zgrzybiałego Jacka, który już nie zadba o swą linię sideł przerzynającą się przez haliburtoński busz. W szkarłacie jesieni ubierającej północny las. W zgrzycie pił odległego tartaku. W gwiździe pociągów budzących tęsknotę w samotnych godzinach nocy. I u Cape Bonavista, i u Zatoki Ha ha ha, na Eagle Peak, na Blue Hills, na Avalonian Ranges…

Jesteś w pieśni regionalnej. W iglicy katedralnej wieży". (A. Tomaszewski, J. Jurkszus- Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.44).

Nawet dociekania na temat genezy nazwy państwa przybierają formę monologu zakochanego, który cieszy się brzmieniem drogiego mu imienia. „Kanada. Co za dziwne, urocze słowo. Odzywa się w nim jakby tęsknota, jakby dalekie wołanie. Może tak brzmi krzyk dzikich gęsi ciągnących nocą w samotnej dyscyplinie klucza, pod północną zorzą? Może tak zawodzą mewy nad wydmami Nowej Szkocji? Może wymyślili to słowo pierwsi władacze tej ziemi, Irokezi, nazywając swe domki »kanata«, może zasługę przypisać należy plemionom Algonquin, wracającym z wypraw do swych osiedli – »odanah« ?

A może to hiszpańscy żeglarze? Porwani gorączką złota i rozgorzałą właśnie odkrywczą »competition«, jeszcze przed Champlainem dotarli do Jeziora Couchiching. I kiedy w nadbrzeżnych skałach i na ławicach żółtego piachu nie pokazał się drogocenny kruszec, zawodzili płaczliwie »Aca nada«, »Aca nada« (nie ma złota). Gdy w pogodny, letni dzień samotny wędrowiec tnie dziobem swego »canoe« toń jezior Haliburton czy Kawarthy, z gąszczów przybrzeżnych dojdzie go swojskie, dobrze znane wołanie. To wróbel kanadyjski z biało upierzonym gardziołkiem, śpiewa na cześć słońca, lata, życia: »Sweet, sweet, sweet Canada, Canada, Canada«". (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-

Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.42-43).

Jak każdy miłosny związek, tak i uczucie do „słodkiej Kanady” (tak określają ją słowa hymnu państwowego) ma swoją dynamikę. Na początku było więc niejasne pojęcie o tym, że ona w ogóle istnieje. Wtedy jeszcze w cieniu dominującej „koleżanki”:

„W geografii szkolnej musiała być mowa o Kanadzie. Ale widocznie nie za dużo i nie za dobrze nauczono, skoro pojęcie zostało raczej mgliste. Właściwie zawsze podświadomie miało się przekonanie, że to mniej więcej to samo co Stany Zjednoczone. Ot, po prostu Ameryka”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.19).

Fizyczny kontakt z Krajem Klonowego Liścia to wynik „małżeństwa z rozsądku”- Kanada była jednym z kilku państw, które zdecydowały się przyjąć polskich żołnierzy po drugiej wojnie światowej. Pierwsze doświadczenie to praca ponad siły i nieżyczliwość właścicieli farmy:

„Dzień zamknięty między 4.30 A.M. a 10 P.M. Piętnaście godzin męki, wysiłku, agonii, niezadowolenia, szyderstwa, drwiny (…) Na dłoniach nabrzmiałe, bolesne pęcherze”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s. 13).

Gospodarz, Szkot Mac Call, szybko rezygnuje ze „słabowitego" robotnika i odwozi Adam do biura pośrednictwa pracy. Tam bohater autobiograficznego reportażu decyduje się szczerze opowiedzieć o swej niedoli urzędnikowi:

„I nie zawiodłem się. Z największym zdziwieniem, zaskoczeniem, ulgą zobaczyłem na twarzy przedstawiciela kanadyjskiej władzy państwowej życzliwy uśmiech. I to był dla mnie szok, najradośniejsze uczucie, najradośniejsze przeżycie. Kanada jest inna. Kanada nie składa się tylko z Mac Callów (…) Były potem i przeciwności i trudności i gorzkie nieraz doświadczenia. ale i piękniała nam ta Kanada, rozsłoneczniała się, coraz bardziej…". (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s. 17-18).

Zwłaszcza Toronto obdarzy autor po latach takim uczuciem jak kogoś bliskiego. Sugeruje tę postawę m.in. często występujący w opisach miasta zabieg personifikacji jego architektury, np. „Stary ratusz grzeje swe mury w słońcu", „I śmieje się do wiosny ulica i zatacza się trochę z radości, trochę od…piwa". (o Queen Street).

„Toronto, Tronto, Trana" maluje portret pięknej metropolii, największego i najprężniej rozwijającego się miasta spośród położonych powyżej północnej granicy Stanów Zjednoczonych. „Tomaszewscy byli świadkami szybkiego przeobrażenia się Toronto z prowincjonalnej, nudnej mieściny w elegancką i

kulturalną metropolię, należącą do czołówki atrakcyjnych miast na amerykańskim kontynencie". (Florian Śmieja, Pisarze polscy w Kanadzie, s.118). Obserwowali te zmiany codziennie, jak śledzi się rozwój dziecka i coś z macierzyńskiej troski a zarazem dumy rodzica, który przeczuwa przyszłą wielkość najmłodszej pociechy, pobrzmiewa w ich stosunku do Kanady:

„W cieniu Stanów Zjednoczonych i Anglii, dwóch starszych braci, kanadyjski chłopiec dopiero się uczy, dopiero odnajduje w sobie nieznane dotąd bodźce, dopiero odkrywa własne wartości w zapiskach historii tego kraju, dopiero zaczyna kształtować opinię o własnej mocy, możliwościach, charakterze. Ale ten naród ma wszystko potrzebne do wielkości. naród dopiero w marszu, dopiero »in the making«. Żaden naród kilkunastomilionowy nie zamieszkiwał dotąd takich przestrzeni, żaden nie był tak bogaty, żaden nie miał tak potężnych aliantów. Słowo alianci nie jest tu zresztą najszczęśliwsze, wymienione potęgi i narody to raczej rodzina. W rodzinie mogą być kłótnie i nieporozumienia, ale w razie potrzeby – staje się murem. Więzy te bardzo są mocne. Wspólna historia, wspólnie na polach bitew rozlana krew, wspólna tradycja, język, pieśń…". (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.42).

Kto ma nową rodzinę, nie tęskni tak mocno za tą utraconą, w której urodził się i wychował. Dlatego może w prozie mieszkańca tego wielokulturowego Domu „na próżno szukać (…) rozpaczy

wygnańca, tułacza, włóczęgi. (Piotr Śliwiński, Lustro i echo. *O pisarstwie podróżniczym Adama Tomaszewskiego* [w:] *Jesteś wszędzie, Itako…*,s.41).

Na początku wygnańczej wędrówki Tomaszewskich myśl ucieka przy byle okazji do polskiego Domu, który zmuszeni byli opuścić. „Mijają lata. Gorsze i lepsze. Lata oporów wewnętrznych, niechęci i krytyki". (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.27).

Z czasem jednak okazuje się, że to nie bezładna tułaczka, ale pielgrzymka, której celem jest Dom. I ten cel został osiągnięty. Jest to bowiem nowy Dom – kanadyjski. Bo centrum świata stało się dla nich Toronto. Tak jak poeta Czaykowski „narodzili się raz jeszcze" w tym kraju. Ale ten moment ustalenia się nowego centrum świata to wynik długiego procesu asymilacji:

„Stopniowo krytyka – nieunikniona, bo leżąca w naszym charakterze narodowym – słabła w nasileniu. Już zaczynaliśmy Kanady bronić. Z początku przed nowszymi imigrantami z innych krajów. Już denerwowało nas, że wszystko im się nie podoba, gdy nie znają jeszcze cząstki prawdy o tym kraju. Potem przyszły chwile innej, bardziej drastycznej obrony. Gdy coraz częściej zaczęli przybywać goście z własnego kraju, gdy raz po raz słyszeliśmy, że wszystko co polskie, to lepsze. Czy ucichła tęsknota? Czy stępiało uczucie? Nie wiemy. I choć trudno nam

powiedzieć jeszcze »Chosen Country«, jak Dos Pasos o Stanach, bośmy tego kraju nie wybrali, wytworzyło się już w nas przywiązanie, poczucie łączności. Poczucie ważniejsze niż formalność uzyskania obywatelstwa, niż prawo głosowania. Ludzie z pokolenia średniego rzadko bardzo stają się stuprocentowymi Kanadyjczykami, ale i dla nich po latach jest jasne, że Kanada to nie tylko schronienie czasowe dla tułaczy, to nie jeden z wielu namiotów długiej wędrówki po świecie, ale dom, do którego się wraca”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana).



Kościan, miejsce urodzenia Adama Tomaszewskiego.

Artykuł opublikowany w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, listopad 2005 r.

Czesław Miłosz jakiego będę pamiętać



Czesław Miłosz, fot. Marek Śmieja.

Kiedy po śmierci dostanę się do Nieba, musi tam być jak tutaj

zamieniony w samo patrzenie będę dalej pochłaniał proporcje

ludzkiego ciała, kolor irysów, paryską ulicę w czerwcu o świcie

(Cz. Miłosz z tomu „To”)

Barbara Gruszka-Zych

Wiedziałam o chorobie Czesława Miłosza, ale i tak nie mogłam uwierzyć w wiadomość, która dotarła do mnie w sobotę, 14 sierpnia 2004 roku. Zwłaszcza, że „Mój Poeta” patrzył na mnie z naszych wspólnych zdjęć, zawieszonych na ścianie mojego pokoju. Robiłam je, ilekroć odwiedzałam Autora *Nieobjętej ziemi* w jego krakowskim mieszkaniu. To dzięki niemu „uwierzyłam” w życie pozagrobowe. Kiedyś złożyłam Profesorowi wizytę, nastawiona, że będziemy rozmawiać o poezji, a on zaczął mnie wypytywać o sprawy osobiste, o których opowiadałam mu przed kilkoma miesiącami. Myślałam, że o nich zapomniał.

– Martwiłem się o panią – mówił. – Zawsze pani dobrze życzyłem, myślę o pani ciepło – powtarzał. I wtedy poczułam, że jeśli ktoś jest dla mnie tak życzliwy na ziemi, to musi być też i po drugiej stronie. Że te dobre uczucia nie mogą się tu skończyć, zginąć, ale spotkają mnie tam…

Poznałam go w Krakowie, chciałam przeprowadzić z nim wywiad do „Gościa Niedzielnego”, byłam ostatnia w kolejce czekających. I miałam szczęście, bo autor *Kontynentów* był zmęczony i zaproponował mi spacer, a potem kawę u Noworolskiego. Zamiast robić wywiad, rozmawialiśmy o życiu, o Ameryce, w której mieszkał i wykładał w Berkeley na wydziale literatur słowiańskich. Mówił, że nie przebywa w świecie prawdziwie amerykańskim, nie ogląda telewizji, nie czyta narzucanych przez krytykę bestsellerów, ale siedzi w swojej samotni i bardzo dużo pracuje – studiuje, czyta, pisze:

– Po takich podróżach lubię zamknąć się w swojej pustelni.

Taki też był do końca. Nawet złożony chorobą, kiedy już nie mógł sam czytać, chętnie słuchał, jak inni czytali mu listy, teksty, książki i sam dyktował. Podczas pierwszego spotkania na pożegnanie dałam mu swój pierwszy tomik. Po miesiącu dostałam list z Berkeley z oceną wierszy i zachętą do pisania. Odtąd czytał każdą moją nową książkę, oceniał ją w listach, a kiedy przed 7 laty przeniósł się do Krakowa i zamieszkał przy ulicy Bogusławskiego, zapraszał mnie do siebie i na gorąco komentował moje wiersze.

– Niech pani tradycyjnie siądzie w miękkim fotelu, a ja tu – brał swoje twarde krzesło. Jaka była moja radość, kiedy pod swoją mleczną lampą siadał z przyniesionymi przeze mnie kartkami i

po kolei przeglądał je, dzieląc się uwagami. Zdarzało się, że po swojemu chwalił mnie: *bene, molto bene, tres interessant.* Kiedyś wspólnie szukaliśmy tytułu do mojego kolejnego tomiku. Poeta wybierał cytaty z moich wierszy, aż nagle ucieszył się i powiedział:

– *Zapinając kolczyki.* Niech pani uchyli przyłbicę i przyzna się, że jest kobietą.

Potem wielokrotnie przypominał mi, że wymyślił dobry tytuł. Zachęcał do wydania kolejnych książek:

– Jak składam tom, to też wciąż się zastanawiam, co jest w nim do zostawienia, a wreszcie daję spokój. Trzeba zamknąć jakąś część życia, odejść kilka kroków dalej i zgodzić się na to, że taki byłem – opowiadał. Spytał mnie też kiedyś przekornie, czy gdyby powiedział, że już nie powinnam pisać, to bym go posłuchała. Zaprzeczyłam, zdając sobie sprawę, że poeta uświadamia mi, iż konieczność notowania jest dla mnie imperatywem, siłą wyższą. To on, sławny noblista, chciał rozmawiać ze mną – wtedy jeszcze młodą dziewczyną z jakieś tam nieznanej Czeladzi. Poświęcał mi czas, przejmował się moimi problemami. Wiem, że także sprawy wielu innych osób były dla niego ważne. Sam podkreślał, że urodził się na prowincji, na Litwie, we dworze w Szetejniach, w dolinie Niewiaży – jego ukochanej Issy, między Kiejdanami a Krakinowem. Pojechałam tam w czerwcu tego roku, świadoma,

że Poeta jest ciężko chory. W Szetejniach zobaczyłam biały, odremontowany dwór, otoczony przetrzebionym, „uporządkowanym" dla turystów lasem. Słychać było, jak kukają kukułki, ale nie starałam się liczyć, ile „wróżą" lat… Badaczka dziejów Miłosza – Birutė Jonuškaitė opowiedziała mi, że kiedy poeta ostatnio odwiedził to miejsce, szukał wśród drzew ulubionej leszczyny i nie mógł jej znaleźć. Rozglądaliśmy się, jakby kontynuując jego poszukiwania.

Nie poznajesz mnie ale to ja ten sam

Który wycinał na łuki twoje brunatne pędy (…)

Szkoda, że tamtym chłopcem już nie jestem, bo widzisz, chodzę o lasce

Rozmawiał potem z drzewem w wierszu *Do leszczyny*. Z Szetejń pływał Niewiażą z ciotkami do kościoła w Świętobrości. Koło świątyni stoi zadbany pomnik jego babki Józefy Syruciowej, której mąż Zygmunt Kunat napisał *Najlepszey żonie*. Patrzyliśmy na cmentarz w popołudniowym słońcu, pogłębiającym cienie wokół napisów na nagrobkach, *Kalifornijski wędrowiec,*

przechowuję talizman, zdjęcia pagórka w Świętobrości, gdzie pod dębami leżą dziadek Zygmunt Kunat – wyznawał w wierszu *Mój dziadek Zygmunt Kunat.*

To Czesław Miłosz, jak go nazywałam, „Mój Poeta", ale też – za jego sekretarką, Agnieszką Kosińską – „Profesor" nauczył mnie zwracać uwagę na ludzi, nazwiska, szczegóły:

– Odeszła pani od subiektywnego widzenia świata, tak charakterystycznego dla poezji współczesnej, do obiektywnego. W pani wierszach są rzeczy, detale, to coś innego niż emocje, skupianie się na sobie.

Kiedy czytał mój wiersz o klasztorze kontemplacyjnym sióstr klarysek w Starym Sączu, cieszył się:

– To jest właśnie to: woda obmywająca ofiarne bulwy ziemniaków, ogień gazowego piecyka. To są przedmioty, konkrety, ładne, tak… Czy pani się zastanawiała, jak przedmioty potrafią nosić na sobie znaki, odbicia osób, które je miały? – pytał po lekturze mojego wiersza o dziewczynie, która w sklepie z używaną odzieżą zostawiła razem z sukienką szalone lato. Na półkach mam kilkadziesiąt książek Miłosza z jego autografami, dedykacjami dla moich synów, dla mnie. Z literami pisanymi nieodmiennie wiecznym piórem, które nosił w wewnętrznej kieszeni swojej marynarki.

– Brak pióra to nie powód, żebym nie wpisał pani dedykacji – śmiał się w zeszłym roku, nie mogąc go znaleźć. Jego ostatnie tomy były nieustannym zbieraniem się do odejścia. A jednocześnie zapisem niepohamowanego zachwytu nad światem. To chyba najwybitniejsze strofy poezji polskiej o życiu i śmierci. Wiersze, które podbiły Stany Zjednoczone (w USA uważają, że Miłosz to „ich" poeta).

Kiedy po śmierci dostanę się do Nieba, musi tam być jak tutaj

zamieniony w samo patrzenie będę dalej pochłaniał proporcje

ludzkiego ciała, kolor irysów, paryską ulicę w czerwcu o świcie

notował w tomie *To.* Albo:

Jasności promieniste

Niebiańskie rosy czyste

Pomagajcie każdemu

Ziemi doznającemu.

Te wiersze dla niektórych były jak modlitwa. Poznałam zakonnicę, która czytała je zamiast medytacji. Słyszałam o księdzu, który kazał je zamknąć ze sobą do trumny. A przecież sam poeta miał do swojego pisania (i pisania w ogóle) tyle zastrzeżeń.

– Literatura nie bardzo daje się pogodzić z ewangelicznym wskazaniem *Gdzie skarb twój, tam serce Twoje* – mówił mi. – Bo skarb poety i każdego twórcy zanadto jest umieszczony w tym, co robi, a to, co robi, jest związane z jego osobą. W samym założeniu spędzanie tylu godzin na obcowaniu ze sobą staje się niebezpieczne, oddziela od innych.

Kiedy odwiedziłam go jeszcze przed dziewięćdziesiątką, zaśmiał się:

– Przychodzi pani do starego człowieka, nie słyszę, niedowidzę.

– To może jakieś krople?– starałam się radzić.

– Gdzie tam krople, to starość. Ci, co mają mocne serce, muszą się długo męczyć.

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, w sierpniu 2004 r.